

Adam Wiaryga-Minieski.

# JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

15 Rózi przemknęło przez myśl, że ta kobieta w swej zielonkawo burej sukni z gładko przyczesanymi ciemnymi włosami, z łęknym wyrazem łagodnych, blade niebieskich oczu przypomina skromny, wonny kwiat-rezede. Równie nikła, niepozorna, bez odrobiny barw gorących, świetnych, a przepojona delikatną, miłą wonią kobiecości dobrej i uczuciowej.

Dziewczyna wpatrzyła się w twarz nauczycielki, biedną, zmęczoną twarz z kaczkowatym nosem, z za szerokimi anemicznymi ustami, z żółtawą o cytrynowym odcieniu cerą, porysowaną siecią cienkich zmarszczek.

— Ile pani ma lat, panno Julio? — szepnęła.

— Trzydzieści trzy.

— Trzydzieści trzy?... Doprawdy?... — wyrwało się Wandzie — a ja myślałam...

Ugryzła się w język, spostrzegając, że chce powiedzieć głupstwo.

— A ty myślałaś pewnie, że pięćdziesiąt! — zaśmiała się przykro i jakoś ostro panna Julia. — Tak! Wiem, że wyglądam na tyle... No, gdybyś ty tyle co ja napracowała się, namęczyła, przecierpiała... Nie życzę ci tego, moja Wandziu...

Rózia spojrzała z niemym wyrzutem na koleżankę, a Wanda zawstydzona prawie ze łzami w oczach rzuciła się pannie Ożarskiej na szyję.

— Ależ pani mnie źle zrozumiała... Ja nie to... nie to wcale... ja właśnie miałam na myśli, że pani jest jeszcze młoda i nie powinna tak rezygnować!... Jeszcze pani spotka szczęście na swej drodze!...

— Ja także jestem tego pewna!... — zawtórowała Rózia, obejmując Julię również ramieniem.

— Będziemy jeszcze tańczyć na weselu panny Julii jako dróżki! — zapewniała Wanda już z uśmiechem.

— Moje wy poczciwe, drogie dziewczęta! — rozczuliła się panna Ożarska — Ja wiem, że wy mi życzycie jak najlepiej!... Tyle miałam uczenia, a żadne nie były mi tak bliskie, jak wy... No, opowiadajcie, co u was słychać?... Kiedyż twój ślub Wandziu?...

Dziewczyna westchnęła.

— Nie wiem... Ta wojna wszystkiemu stoi na przeszkodzie... I drożyzna taka... Kazik nie może skończyć swojej pracy habilitacyjnej.

— O! to bieda... Zresztą niewielka... Młodzi jesteście oboje, możecie trochę poczekać... A ty, Róziu milczysz? Nic mi nie opowiadasz? Dowgird zdrów? Piszę? — panna Ożarska знаła tajemnicę sercową Goldbaumówny.

— Jest teraz na urlopie...

— Więc przyjechał nareszcie!... No i cóż? cóż?... Twoi rodzice nic nie zmiarkowali?... A jego matka?... I co zamysłacie robić?...

W tem żywym zainteresowaniu oprócz prawdziwego współczucia była także szczypta niezdrównej romansowej ciekawości.

Panna Julia Ożarska w braku własnych przeżyć miłosnych ogromnie lubiła czytać erotyczne powieści i słuchać o cudzych sprawach sercowych.

Rozmowa, podsycana pytaniami i wykrzyknikami Julii, potoczyła się wariacko i poufale. Nagle panna Ożarska przerwała nić opowiadania i spoglądając na śliczną alabastrową pleć Wandy, zapytała niespodzianie:

— Co też ty robisz, moja Wandziu, że masz taką matową cerę?... Bo mnie się tak twarz błyszczy, że coś okropnego!...

Obie panienki przywykły do takich nagłych, dziwacznych wyskoków swej dawnej mistrzyni, to też nie wybuchnęły głośnym śmiechem ani nawet nie zdziwiły się. Uśmiechnęły się tylko dyskretnie. Te niespodziane troski o cerę, o ręce, o figurę, o włosy należały do niewinnych śmieszności panny Ożarskiej.

— Ja... ja... nic na to nie robię... — objaśniała z pewnem zakłopotaniem Wanda, której broda i kąciki ust drgały zdradliwie — ale słyszałam, że na tłustą cerę bardzo dobry jest puder ryżowy.

— Puder ryżowy powiadasz?... Ach! to takie wszystko drogie teraz!...

Te niby pretensjonalne starania o powierz-

chowność nie wychodziły z stadyum platonicznego. Julia raczej zdecydowała się posłać znówu bratu jakiś „dodatek“ albo kupić ciepłe pończoszki swej ulubionej małej Mani, córeczce stróża, aniżeli wydać choćby grosz na jakiś kosmetyk lub si oik.

To samo było u niej z mężczyznami... Marzyła o miłości, nie umiała jednak nietylko zdobyć się na namiętną kokieterię, ale w towarzystwie męskiem stawiała się milcząca, bezradna, zalekniona... Im bardziej jej się mężczyzna podobał, tem trwożliwiej usuwała się od niego.

— Urodzona stara panna — twierdziły kuzynki i koleżanki panny Ożarskiej.

Julia przesunęła ręką po swojej twarzy i chciała jeszcze jakąś na ten temat rzucić uwagę, kiedy zapukano do drzwi.

— Proszę!

W progu stanęła elegancka, średniego wzrostu osóbką, odrzucając śnieg ze swej spódnicy i czarnych obcisłych kamaszy.

— Al Frania... Jak się masz?... Proszę cię, pozwól dalej, bo zimno. — Julia pospieszenie zamknęła drzwi, przez które wtargnął do pokoju prąd mroźnego powietrza.

— Dobry wieczór! — zadzwoniła cienkim trochę, afektowanym głosikiem panna Frania i od razu stanęła przed lustrem, aby sobie poprawić trochę rozwichrzone karbowane loczki i śmiało odwinęły z boku kapelusz z dużym piórem, naśladowującem strusie.

— Ach! jak tu ciemno!... Nic nie widzę... a kapelusz przekrzywił mi się zdaje się... Poświećno mi lampą! Mogłabyś doprawdy zdobyć się już raz na pokój z elektryką!...

Julia spełniła żądanie swego gościa. Panna Frania przez długą chwilę przyprowadzała do porządku swoją ozdobę głowy, poczem dopiero zwróciła się z powitaniem do Rózi i Wandy.

W niedużym pokoju aż duszno zrobiło się od mocnych perfum, które przepojone były jej suknie i zanadto hałaśliwie od jej głosu cienkiego a głośnego i krzykliwego śmiechu.

Usiadła na podsunietem jej przez Julię krześle, założyła nogę na nogę, ukazując potroszę koronki spódniczki i cieniutkie gazowe pończochy. Sięgnęła do pudełka z pomadkami i chrupiąc cukierek mówiła:

— Jak też ty wysoko mieszkasz, moja kochana! U!... zmęczyłam się...

— Nie stać mnie na pierwsze piętro — uśmiechnęła się Julia.

— Bo nie umiesz się urządzać, moja kochana!... Ja ci to już dawno mówiłam!... Trzeba umieć żyć!... Kto ma spryt i energię, poradzi sobie zawsze.

Aforyzm ten wygłosiła panna Frania z ogromną pewnością siebie i ze stanowczością, wykluczającą wszelką opozycję. Jednocześnie spostrzegając pudełko na stole, sięgnęła po różową pomadkę i jęła ją nagryzać bardzo białymi zębami.

— Trudno sobie radzić przy takiej drożyznie. Co się zarobi — wszystko mało — westchnęła panna Ożarska — gdyby to wojna skończyła się...

— Ech, wojna... wojna... Ma oczywiście swoje niewygody, ale ma też i pewne wygody... powiedziałabym nawet, że duże...

— To samo mniej więcej powiedziałby mój ojciec — przemknęło Rózi przez myśl.

Wandzie oczy błysnęły oburzeniem, a Julia zsunęła brwi i spojrzała na zadowoloną z wojny elegancką osóbkę poważnie i surowo.

— Jak możesz nawet coś podobnego pomyśleć, Franiu!... Wobec tego ogromu nieszczęść, nędzy, bólu ty...

— Tereferel! Zawsze zaczynasz z wysokiego tonu, a ja mówię o! tak praktycznie... z powszedniego punktu widzenia... Co jednakowoż nie znaczy wcale, abym sobie miała życzyć przedłużenia wojny, albo nie współczuć nieszczęśliwym — cofała się. — Mniejsza z tem zresztą!... Wiesz, wcale nie zle te pomadki!...

Wzięła drugi cukierek i jadła, smakując z upodobaniem. Pulchne jej, grube, karminowoczerwone wargi poruszały się, mlaskając zlekka, jak u ludzi nadmiernie czułych na rozkosze podniebienia.

— Wcale, wcale dobre... Doprawdy, gotowam cię posadzić, moja ty moralistko, że pocichu ciagniesz „pasieczek“, albo masz jakichś tajemniczych wielbicieli — roześmiała się po swemu głośno, krzykliwie i zjadła jeszcze jedną pomadkę.

— Ani jedno ani drugie — odparła Julia sucho.

To, co w ustach Wandy brzmiało jak niewinny żarcik, u Frani nabierało zgoła innego charakteru. Było w tem coś lekceważącego, obraźliwego. Głucha złość poruszyła się w Julii. Co ta Frania właściwie sobie myśli? Że tylko ona może mieć wielbicieli?!

Panna Ożarska uczuła niechęć do tej roześmianej, wystrojonej, pewnej siebie kobiety. Z pewnem zadowoleniem uświadomiła sobie, że Frania pomimo swych sukcesów, o których chętnie i dużo mówić lubi, nie zdołała dotychczas zdobyć obrączki ślubnej.

— A nie jest już taka młoda!... Niewiele młodsza odemnie. Ale jak świeżo wygląda! jakby między nami było conajmniej kilkanaście lat różnicy — pomyślała z żalem.

Spokojnie wysłuchiwała opowiadania Frani o tem, jak to jakiś nadzwyczaj przysojny i elegancki brunet szedł za nią przez kilka ulic i odprowadził aż tutaj, pod samą bramę. Opowiadająca analizowała szczegółowo to swoje uliczne przeżycie, kreśliła słowami barwny obraz, zdając się zupełnie nie zwracać uwagi na to, że wśród audytorium budzi zainteresowanie mniej niż średnie, że nikt nie podsyca jej swady żadnem zapytaniem lub komentarzem, że Wanda Borowicka ma minę wyraźnie znudzoną, Rózia uśmiecha się pobłażliwie, a w oczach panny Ożarskiej migają ogniki ironii.

Panny Frani Grabkówny nie możnaby właściwie po dokładnym a sprawiedliwym przeglądzie rysów jej twarzy nazwać ładną. Miała stanowczo usta za grube i zbyt wysunięte, nos za krótki i nadto zadarty o szerokich nozdrzach, oczy za małe jakiejś barwy nieokreślonej zielonawo szarej, głowę stanowczo za dużą.

Jednakowoż całość nietylko była nie brzydka, ale nawet pojętna. Wady swej powierzchowności umiała panna Frania pokryć tak zręcznie, że nie raziły. Nadmierną wielkość czaszki maskowało odpowiednie uczesanie lśniącvch, bujnych włosów, uzupełnionych różnymi lokami i podkładkami. Małe, nieładnie poprawne oczy jaśniały szelmowskim sprytem, wesołością i kokieterią, a właścicielka ich umiała manewrować niemi stosownie do sytuacji. O kształcie nosa można było zapomnieć, patrząc na cerę świeżą, białoróżową, gładką, młodzieńczą, pomimo dwóch fałdek, które zaznaczyła już koło brody ukończona trzydziestka. Grube, wywinęte wargi płonęły soczystym wilgotnym szkarłatem i uśmiechały się zalotnie, odsłaniając zęby drobne, równe, olśniewająco białe. Głębokie wycięcie bluzki pozwalało widzieć szyję krótką trochę, ale białą i jak utoczoną, która miękką linią opadała ku ramionom i kwadrat ałlasowej, wypięlgnowanej skóry.

Jaskrawe barwy ubrania harmonizowały z całą aż nadto śmiałą powierzchownością Grabkówny, a krój sukni uwydatniał plastycznie pełne, zaokrąglone kształty. Krótka, modna spódniczka zakrywała łydkę, zaledwie do połowy ukazując nogę, dość grubą w kostce o stopie niezbyt małej lecz zgrabnej, obutej w elegancki, lakierem okładany bucik.

Bił od tej kobiety jakiś urok czysto zmysłowy, drażniący... Każdy jej ruch, każde spojrzenie miały w sobie coś wyzywającego.

Mogła się podobać lub nie, z pewnością jednak prawie każdemu mężczyźnie rzucała się w oczy. Nietrudno też było uwierzyć, że ją często spotykają uliczne zaczepki.

Kiedy Frania skończyła swoje opowiadanie, wyczerpawszy temat wszechstronnie i przytaczając na zakończenie ciętą odprawę, jaką „speszyla“ przygodnego donżuana — Julia zauważyła:

— Wiesz, powiem ci szczerze, że jeśli nie chcesz narażać się na zaczepki durniów, to nie powinnaś nosić na kapeluszu takich krzycząco czerwonych kokard.

— Co? I abym miała dla kogoś zmienić sposób mojego ubierania?... Al to dobre sobie... Zresztą cóż mi to szkodzi, że mnie ktoś zaczepi. A ten, powiadam ci, nie był żaden dureń, ale bardzo ładny chłopiec... Samabyś z przyjemnością popatrzyła na niego.

Złośliwie zerknęła z pod powiek na mało powabną koleżankę.

— Ale, doprawdy, co ja mam za głowę!... Tak się z wami zagadałam — pochłonięta w zupełności własną osobą, nie dostrzegła, że to tylko ona właściwie gadała — że zapomniałam, po co tu przyszłam. Mam dla ciebie lekcję, Julia.

(Ciąg dalszy nastąpi).